

□ Czas czytania: 9 min.

Sen księdza Bosko w przeddzień wyjazdu misjonarzy do Ameryki jest wydarzeniem pełnym duchowego i symbolicznego znaczenia w historii Zgromadzenia Salezjańskiego. Tej nocy, z 31 stycznia na 1 lutego, ksiądz Bosko miał proroczą wizję, która podkreślała znaczenie pobożności, apostołskiej gorliwości i pełnego zaufania do Bożej opatrności dla powodzenia misji. To wydarzenie nie tylko dodało odwagi misjonarzom, ale także umocniło przekonanie księdza Bosko o konieczności rozszerzenia ich pracy poza granice Włoch, niosąc edukację, wsparcie i nadzieję młodym pokoleniom w odległych krajach.

Nadeszła pora wyjazdu księdza biskupa Cagliero [na misje – przyp. tłum.]. Nasz dobry Ojciec zmartwił się myślą, że monsignore wraz z towarzyszami wkrótce odjedzie w dalekie strony. Nie mógł przecież zejść do kościoła, by im udzielić błogosławieństwa, jak po inne lata, co go bardzo przygnębiało. I w takim stanie ducha, w nocy z 31 stycznia na 1 lutego miał sen podobny do tego z roku 1883 r., o misjach salezjańskich. Opowiedział go księdzu Lemoyne, który go zaraz spisał. Oto on:

Zdawało mi się, że towarzyszę naszym misjonarzom przygotowującym się do podróży. Rozmawialiśmy właśnie krótko przed opuszczeniem Oratorium. Między innymi powiedziałem im:

- Nie wiedzą, ani zdrowiem, ani bogactwami, ale gorliwością i pobożnością działać dużo dla chwały Bożej i zbawienia dusz.

Naraz z Oratorium, nie wiem jaką drogą i jak się to stało, znaleźliśmy się w Ameryce na rozległej równinie pomiędzy Chile a Argentyną. Moi drodzy misjonarze zaraz rozeszli się na wszystkie strony tego bezbrzeżnego obszaru. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że jest ich bardzo mało. A byłem przekonany, że powinno ich tam być o wiele więcej, skoro już kilka ekspedycji misyjnych wysłaliśmy, ale po chwilce refleksji stało się jasnym, że przecież w porównaniu do obszarów, na jakich mieli pracować, to stanowili doprawdy maleńką garstkę.

Przez tę wspomnianą równinę krzyżowało się wiele bardzo długich dróg, wzdłuż których wznosiły się zabudowania. Gościńce te jednak nie były takie jak u nas, ani budynki nie miały podobieństwa do naszych. Miały w sobie coś tajemniczego, rzekłbyś duchowego. Pędziły po nich jakieś pojazdy, które przybierały różne

fantastyczne kształty, doprawdy wspaniałe, dziwne, nie do określenia. Dojeżdżając ku domom, wioskom, czy miastom, wehikuły te unosiły się w górę, bo gościńce na miejscach pustych biegły po ziemi, ale przy osadach ludzkich piętrzyły się jakby mosty magiczne, skąd można było dogodnie przyglądać się mieszkańcom pracującym w swoich gospodarstwach.

Każda z tych dróg rozpoczynała się od poszczególnych naszych misji. Otóż, na końcu jednej, najdłuższej, która prowadziła do Chile, widziałem dom z wielu salezjanami, którzy tam oddawali się nauce i pracy zawodowej, przeplatając to pobożnymi praktykami.

Na południe była Patagonia. Z drugiej strony, jak oko sięgało, widziałem wszystkie nasze domy w Argentynie, w Urugwaju i w Brazylii. Inny, bardzo długi gościniec prowadził na zachód przez rzeki, jeziora i kończył się gdzieś w krajach mi nieznanych. Zauważyłem tam zaledwie dwóch salezjanów.

W tej chwili zjawiła się przy mnie jakaś osobistość o szlachetnym i miłym wyglądzie, trochę przybladła, z brodą ogoloną, w wieku dojrzałym. Na plecach miała coś w rodzaju kapy czerwonej, przetykanej złotem. Promieniała pełnią blasku.

Spostrzegłem się, że to na pewno mój zwykły Tłumacz.

- Gdzie jesteście - spytałem, wskazując na okolicę.
- Jesteście w Mezopotamii - odpowiedział.
- W Mezopotamii?... przecież to jest Patagonia.
- A ja ci mówię - powtarza Przewodnik - że to jest Mezopotamia.
- Być może, być może, ale nie mogę się do tego przekonać...
- A jednak tak jest. To jest Mezopotamia - zakonkludował z naciskiem Przewodnik, kładąc nacisk na każdą zgłoskę, bym sobie to zapamiętał.
- A czemu salezjanów, których tu widzę, jest tak mało?
- To, czego teraz nie ma to będzie.

Ja tymczasem stojąc na owej rozległej równinie oglądałem bezkresne drogi i podziwiałem, sam nie wiedząc, jak się to dzieje, miejsca, które są i będą zajęte przez salezjanów. Ile wspaniałych rzeczy tam było. Widziałem wszystkie nasze kolegia. Widziałem jakoby w jednym punkcie, co było, jest i będzie z naszymi misjami. Ale ponieważ widziałem wszystko naraz, trudno mi teraz, nawet nieudolnie to przedstawić. Choćbym tylko krótko chciał to ująć, co widziałem na równinie chilijskiej, paragwajskiej, brazylijskiej i argentyńskiej, potrzebowałbym grubego tomu. Widziałem tam wielką ilość dzikich szczepów, które obecnie rozrzucone żyją

na wyspach Pacyfiku i nad cieśniną Magellana.

Wielkie to żniwo przeznaczone jest dla salezjanów, którzy obecnie sieją tam tylko, ale w przyszłości będziemy i zbierać. W tej pracy będą pomagać nam mężowie i niewiasty. I tak ludzie świeccy będą przepowiadać Ewangelię. Ich synów, których zdawałoby się, iż nie będzie można pozyskać dla wiary, będą głosili Ewangelię swym krewnym i znajomym. Tego wszystkiego zdołają dokonać salezjanie swoją pokorą, pracowitością i wstrzeźliwością.

Wszystko, co widziałem, odnosiło się do salezjanów, do początków ich działalności, do rozrostu ich dzieł, do ich pracy cywilizacyjnej wśród tubylców i Europejczyków tamże zamieszkałych. Europa przeniesie się do Ameryki Południowej. Od chwili bowiem, gdy w Europie zaczęło się ogałacać kościoły, rozpoczął się też zanik jej rozkwitu. Stąd robotnicy ze swoimi rodzinami, zmuszeni nędzą, będą musieli szukać chleba na tych nowych ziemiach. Gdy oglądałem pole pracy, które Pan Bóg nam wyznacza i wspaniałą przyszłość Zgromadzenia Salezjańskiego, zdawało mi się, iż wracam do Włoch.

Gwałtownym pędem przebyłem jakąś bardzo wysoką i dziwną drogę, i w jednej chwili znalazłem się nad Oratorium. Cały Turyn był pod moimi nogami. Jego wieże i pałace wyglądały jak małe pudełka. Rozkoszny przedstawiały widok owe ogrody, aleje, gościńce, place, mury, pola, pagórki, miasta i wioski, a wreszcie olbrzymi łańcuch Alp pokrytych śniegiem. Widziałem i chłopców z Oratorium biegających jak małe szczury, za to liczba ich była nadzwyczaj wielka. Wśród nich uwijali się księża, klerycy, wychowawcy i instruktorzy. Jedni wychodzili szeregiem, inni podchodzili na ich miejsce.

Wszyscy zdążali ku owej szerokiej równinie między Chile a Argentyną, na którą i ja w mgnieniu oka powróciłem i przypatrywałem się temu wszystkiemu. Młody ksiądz, podobny do naszego księdza Pavia, ale to nie był on, o wyglądzie miłym, bardzo grzecznie zbliżył się do mnie i rzekł: Oto kraje wraz z duszami, przeznaczone dla synów świętego Franciszka Salezego.

Tu trzeba zauważyć, iż opowiadam sen tylko w ogólnych zarysach, gdyż niepodobna wszystkiego, co widziałem opanować myślą, ani też słowami wyrazić. Jakaś tajemnica otacza te sceny, które to się przybliżały, to krzyżowały, to znów się powtarzały, zależnie od tego, czy misjonarze się rozchodzili, czy zjeżdżali i zależnie od zachowania się ludów, które ewangelizowali. Powtarzam, że widziałem jakby w

jednym punkcie: teraźniejszość, przyszłość i przeszłość ze wszystkimi zmianami, niebezpieczeństwami, powodzeniami i niepowodzeniami, które będą towarzyszyć ich apostołowi. Wtedy zrozumiałem wszystko dokładnie, ale teraz już nie mogę rozwikłać tego splotu faktów, idei i osób. Byłoby to to samo, jakby ktoś chciał do jednego opowiadania pewnego zdarzenia włączyć wszystko to, co można powiedzieć o firmamencie niebieskim, o ruchu gwiazd, o ich własnościach, wzajemnej zależności, kiedy już jedna gwiazda dostarczyłaby dość materii do studiów. Zresztą należy i to zauważyć, iż chodzi tu o rzeczy, które nie mają odpowiednika w świecie materii.

Wracając więc do snu zaznaczam, że byłem zdziwiony, jak to całe mnóstwo ludzi mogło się w jednej chwili rozwiać. Przy moim boku zauważyłem tylko biskupa Cagliero. Inni stali naokoło z dala, z poważną liczbą naszych Pomocników.

Podczas, gdy rozmawiałem z księdzem Cagliero o tym, co by to wszystko miało znaczyć, podszedł do mnie mój Tłumacz i bardzo grzecznie odezwał się:

– Słuchajcie i oglądajcie.

W tej chwili cała ta równina zmieniła się na olbrzymią salę. Nie silę się opisywać dokładnie jej wspaniałości i bogactwa. Nikt tego z nas nie umiałby sobie tego wyobrazić. Nie można było objąć wzrokiem murów ją okalających. Sklepienie opierało się na wysokich, lśniących łukach. Wnętrze kopuły owej sali mieniło się jakimś bielutkim atłasem. Nie mniej piękną była posadzka. Nie widziałem tam ani lamp, ani słońca, ani księżyca, ani gwiazd, ale jasność tajemnicza oświeślała ją równomiernie. Atłasowa biel błyszczała ze wszystkich stron, a owo światło uwypuklało piękno każdej ozdoby, każdego okna i drzwi. Wokoło rozchodził się przemiły zapach wszelkich najprzyjemniejszych woni. I znowu nastąpiło inne zjawisko. W owej sali znalazły się naraz w wielkiej liczbie stoły ustawione we wszystkich kierunkach, ale tak, że w środku schodziły się razem. Były przykryte śnieżnobiałymi obrusami, a na nich mieniły się rozstawione precudne flakony kryształowe, pełne kwiatów.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył ksiądz Cagliero było:

– Stoły są, ale gdzie pokarmy?

Rzeczywiście, żadne dania nie były przygotowane, ani nawet nie było nakrycia.

Mój sympatyczny Przewodnik odpowiedział:

– Ci, co tu przychodzą... *neque sitient, neque esurient amplius* – ani pragną, ani łakną więcej...

Kiedy to powiedział, zaczęli wchodzić ludzie ubrani na biało, ze wstęgą na kształt stuły, różowego koloru, przetkaną nićmi złotymi. Pierwsi, którzy weszli, nie byli liczni.

Zaledwie weszli usiedli przy stole dla nich przygotowanym, wykrzykując:

– *Evviva* – niech żyje... ale potem przychodziły już coraz liczniejsze zastępy, śpiewając: *Triumf!*

I napływali do sali całymi falami ludzie, mężczyźni i kobiety o różnej cerze i o różnej budowie ciała, a z wszystkich stron rozbrzmiewały śpiewy: *Evviva* i *Triumf*. Cała ta rzesza – to były narody i szczepy, które zostaną nawrócone przez misjonarzy.

Spojrzawszy po owych, tak długich stołach zauważyłem, że przy nich siedziały, śpiewając także liczne nasze siostry i wielka liczba naszych Współbraci, ale nie mieli żadnej wyróżniającej odznaki, że są księżmi, klerykami, czy siostrami zakonnymi, ale tak jak wszyscy, mieli szatę białą i różne naszyjniki. Tym większe było moje zdziwienie, gdy zauważyłem mężczyzn o wyglądzie prostackim, ubranych jak inni, którzy śpiewali: *Evviva* – *Triumf!*...

Mój Tłumacz powiedział:

– Otóż ci dzicy, którzy pili mleko Słowa Bożego od swych wychowawców, stali się głosicielami Ewangelii.

Zauważyłem wśród tych ludzi gromady dzieci o wyglądzie też raczej prostackim i dziwnym, więc spytałem:

– A te dzieci, co mają skórę tak podobną, rzekłbyś do ropuchy, a jednak przy tym tak są piękne i tak promienne, co oni znaczą?

A Tłumacz odpowiedział:

– Są to dzieci Chama, którzy jednak nie wyrzekli się dziedzictwa Lewiego. Oni to wzmocnią zbrojne zastępy, ażeby zappełnić Królestwo Boże, które wśród nich nareszcie przyszło. Jest ich na razie mało, ale synowie ich synów urosną w liczbę. Teraz słuchacie i widzicie, ale nie możecie zrozumieć tych tajemnic, jakie oglądacie.

Dzieci te pochodziły z Patagonii i Afryki Południowej. Tymczasem takie tłumy napłynęły do sali, że już wszystkie miejsca były zajęte. Krzesła nie miały zdecydowanego kształtu, ale przybierały taką formę, jaka siedzącym odpowiadała. Każdy był ze swojego zadowolony.

I oto, gdy ze wszystkich stron rozbrzmiewał okrzyk:

– *Evviva! Triumf!* – naraz wtłacza się do sali nowa olbrzymia rzesza, witana owacyjnie przez obecnych, śpiewając: *Alleluja!... Chwała!... Triumf!...*

Kiedy już sala nappełniła się tak, że tysiący w niej zebranych nie można było policzyć,

nastało głębokie milczenie.

Po chwili te tysiące, podzielone na różne chóry zaczęły śpiewać.

Pierwszy chór: *Appropinquavit in nos Regnum Dei: Laetentur caeli et exultet terra: Dominus regnavit super nos, alleluja.*

Drugi chór: *Vicerunt, et ipse Dominus dabit edere de ligno vitae et non esurient in aeternum, alleluja.*

Trzeci chór: *Laudate Dominum omnes gentes, laudate eum omnes populi.*

Kiedy tak chóry śpiewały przeplatając się wzajemnie, naraz zapadło głębokie milczenie. I oto rozbrzmiały nowe głosy, gdzieś wysoko i daleko. Treścią tych głosów, wplecionych w cudną melodię, której nie da się odtworzyć było: *SOLI DEO HONOR ET GLORIA IN SAECULA SAECULORUM* – Samemu Bogu cześć i chwała na wieki wieków.

Inne chóry również z wysoka i daleka odpowiadały: *SEMPER GRATIARUM ACTIO ILLI, QUI ERAT, EST ET VENTURUS EST* – Zawsze dzięki Temu, który był, jest i ma przyjść. Po czym chóry spłynęły jakby z nieba, ku nam. Między tymi śpiewakami niebieskimi był także Alojzy Colle. Wtedy wszyscy razem z tymi, co byli na sali, zaczęli wspólnie śpiewać przy potężnym akompaniamencie instrumentów muzycznych, o rozpiętości skali bezkresnej. Muzyka ta i chóry, mimo iż rozbrzmiewały tysiącem nut, to pienia razem tworzyły jeden potężny, harmonijny akord niebieskich głosów. A jak głosy tych u góry były wysokie i przenikliwe, iż trudno to sobie wyobrazić, tak głosy na sali brzmiały stentorowo i majestatycznie. Wszystko razem tworzyło jedną symfonię z takim gustem wykonaną i tak cudownie piękną, że tym upajały się wszystkie zmysły ludzkie i człowiek zapominał o własnym istnieniu.

Padłem wówczas na kolana u stóp księdza Cagliero wołając:

– O, Cagliero, jesteście w niebie.

A biskup Cagliero wzięwszy mnie za rękę, odpowiedział:

– To nie jest niebo, to słaba tylko figura tego, co będzie w niebie.

A owe niezliczone chóry śpiewały dalej swoje niekończące się:

– *Soli Deo honor et gloria et triumphus, alleluja... In aeternum, in aeternum* – Samemu Bogu cześć i chwała i triumf, alleluja.

Tu zupełnie zapomniałem o sobie i nie wiem, co dalej ze mną się działo. Rano było mi bardzo ciężko wstać z łóżka, dopiero trochę przyszedłem do siebie, kiedy był już czas odprawiać Mszę świętą.

Myśl główna, jaka mi po tym śnie pozostała, była, ażeby zalecić księdzu Cagliariero i innym misjonarzom rzecz bardzo ważną dla przyszłego rozwoju misji, a mianowicie: Wszystkie zabiegi salezjanów i Córek Maryi Wspomożycielki niech będą skierowane do tego, aby budzić powołanie do stanu kapłańskiego i zakonnego.

(MB IT XVII, 299-305 / MB PL XVII, 188-192)